

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 13 czerwca 1914 roku

№ 24.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

23

Powieść z obcego życia.

Słyszała je wszędzie. W gwarze ulicy, w cichym, pustym Lasku Bulońskim, kędy codziennie przed południem odbywała wycieczki konne. W sali teatralnej, na koncercie, na balu, nawet podczas kazania i psalmów w kościele amerykańskim. Szept Paryża budził ją po nocy — wsłuchiwała się weń odurzona i nie-szczęśliwa. Zmierzniała, źrenice jej rozszerzyły się i nabrały blasku, ale zbrzydła jeszcze bardziej.

Ciągnęła ją ku sobie ulica. Po-lubiła samotne wędrowki po mieście. Błądziła przez długie godziny bez planu i bez celu. Coś jej mówiło, mętnie, niewyraźnie, w pośpiechu i zmieszaniu, że czeka ją tam rzecz wymarzona, nienazwana i jeszcze nieświadoma. Stało się zwyczajem, że codziennie w popołudniowych go-dzinach wychodziła sama na parę godzin. Matka próbowała ją błagać, żeby przynajmniej ktoś mógł zdaleka czuć nad nią. Lucy nie chciała słyszeć o żadnej opiece.

— Moja mamo! Któż mnie za-czepi? Mnie? W Paryżu? Chyba nie-widomy...

Na swobodzie, zgubiona wśród tłumów, trwała się własnym niepokojem, trwogą niejasnego wyczekiwania. Śmiała się sama z siebie, toczyła sama ze sobą ironiczne, rozpaczliwe dysputy. Wszędzie wokoło widziała kipiące, zwyczajne ludzkie życie. Przyglądała mu się z ciekawością i zazdrością zwyczajnym, prostym ludziom. Pragnęła zlać się z tym tłumem, upodobnić się do wszystkich, porzucić swoje przywileje i doznać raz w życiu czegoś prawdziwego, szczerego.

Zdawało jej się, że aż dotych-czas wszystko wokoło niej i wszyst-ko w niej było wymuszone, puste i nieprawdziwe. Obrzydło jej ruchli-we życie towarzyskie, wieczne wizy-ty i przyjęcia, zabawy. Zobojętniała

dla swej starej przyjaciółki. Ady Hartley, która zresztą nie narzucała się jej zbyt w tych czasach.

Obrzydł jej nadewszystko tłum wielbicieli, którzy dopiero tutaj, na centralnym targowisku, podczas se-zonu, rzucili się na nią i składali jej hołdy królewskie, bezcelne.

Nie było w Paryżu kobiety, któ-ra byłaby tak pożądana, jak ona.

Narody świata ubiegały się o jej względy. Istna wieża Babel tłoczyła się na przyjęciach w paryskim domu Slazengerów.

Król miedzi był nader ostrożny w zawieraniu nowych znajomości i zanim upoważnił kogoś do złożenia mu wizyty, musiał mieć albo pole-cenie starych przyjaciół, albo też najściślejsze dane co do osoby nowe-go konkurenta. Dostarczała mu tych wiadomości pewna poważna agen-cya, która operowała na całym świe-cie i znała wszystkich na obu półku-lach.

Amerykanie stanowili znaczną mniejszość w tym tłumie, ale walczy-li mężnie przeciwko Europie, zaró-wno z pobudek osobistych, jak idea-owych, w myśl formuły obywatela Monroe. Tworzyli oni coś w rodza-ju syndykatu. Utarły się tam pewne prawa i obyczaje, jak naprzykład wyłączne używanie języka angielskiego, kiedy Europa mówiła tylko po francusku. O ile chodziło o utra-cenie kandydata z Europy, yankesi szli ławą; natomiast różnoplemieńcy z arystokracji pracowali i intrygo-wali w pojedynkę.

Lucy z rozkoszą drwiła sobie z całego tego zbiegowiska. Po Pa-ryżu krawczyły niezliczone anegdoty i bonmots strasznej amerykanki. Nie-spodziewane ukazanie się księcia krwi, który wszedł na scenę z mo-narszym dostojem i wyciągał rękę po pannę, jak po swoją niez-

przezoną własność, wznieciło po-ploch wśród rzeszy zalotników.

Arystokracja uczyła ten fakt hi-storyczny poddaniem się, pełnem do-stojnej rezygnacji, ale amerykańscy oburzali się na intruza, który, wcho-dząc między nich, żądał honorów monarszych, robił miny, kazał sobie przedstawiać, jak swoich wasali, naj-bogatszych ludzi z za oceanu, mó-wił do nich, jak do parobków, nie słyszał, kiedy się do niego odzywano, i nie poznawał nikogo.

Rodzice ulegli byli porażeniu te-go majestatu, nawet Lucy stała się niezmiernie grzeszna, tembardziej, że ambasada, najzupełniej nieoficyal-nie zresztą, dawała do zrozumienia, że na dworze rzymskim zapanował prąd nawskroś nowoczesny, nieomal demokratyczny, że nowa kuzynka z za oceanu może liczyć na najser-deczniejsze przyjęcie w nowej rodzi-nie i t. p.

Stary Slazenger kłaniał się przy-szłemu zięciowi, aż mu traskało w krzyżach, sadił się dla niego na naj-wystawniejszą pompę i ostentacyę, ale swoją drogą udał się do swojej agencji.

Po tygodniu otrzymał komuni-kat, wykazujący, że jego królewska mość chętnem okiem patrzy na te konkury, gdyż kłopoty finansowe księcia już mu się sprzykrzyły, tem-bardziej, że niezbyt dawno w deba-tach nad listą cywilną ujawniono już pewne przykre operacye wekslowe ubogiego kuzyna monarchy — ale, pomimo to wszystko, niema mowy i nie może być mowy nie tylko o zupeł-nie niemożliwym przelaniu na pannę jakichkolwiek praw, ale nawet o zwy-czajnem przyjęciu u dworu, bodajby pod prywatnym nazwiskiem w ro-dzaju księżniczki Benewentu lub hra-biny Arno. Natomiast młody arcy-książę zobowiązał się formalnie, że w dniu, w którym pozyska zgodę panny i rodziców, złoży na ręce am-basadora włoskiego deklaracyę, zrzu-kającą się wszelkich praw i przywi-lejów krwi, tudzież stopnia generał-adyutanta armii ojczystej.

Jednak jego królewska moc, nie chcąc stawać w poprzek szczęściu ukochanego siostrzeńca, zobowiązuje się deklarację powyższą uważać narazie za tajemnicę stanu i ogłosić ją w dzienniku praw w żadnym razie nie wcześniej, jak w pół roku po ślubie.

Jednak arcyksiążę Amadeusz nie ustąpił, pomimo bardzo uniżonego i nader dyplomatycznego listu, który układał znakomity adwokat paryski, a którym stary Slazenger „ku swojemu prawdziwemu strapieniu, chciał oszczędzić jego królewskiej wysokości przykrego zawodu, niestety, nie dającego się żadną miarą uniknąć.

Jego królewska wysokość był naprawdę zachochany. W parę dni po otrzymaniu historycznego listu, ku przerażeniu całego domu, arcyksiążę zjawił się w porze zupełnie niezwykłej i długo czekał w salonie, zanim król między zebrał zmysły i namyślił się nad tem, co ma począć i co ma mówić.

Wezwano Lucy i ta po swojemu, nie pozwoliwszy nawet pisać ojcowi ani matce, wyszła sama do straszego gościa i po paru minutach, zanim starzy zdołali przyjąć do siebie, powróciła ze śmiechem, w najlepszym humorze i za nic w świecie nie chciała opowiedzieć, jak załatwiła się z tą historyczną aferą.

Kiedy zrozpaczony ojciec pobiegł ratować sytuację — Lucy opowiadała potem, że chciał zapobiedz krwawej wojnie włosko-amerykańskiej — samochód arcyksięcia już ruszył z przed portyku.

John stał w drzwiach z godnością mistrza ceremonii i szydził swoją nadmierną powagą. Na dłoni podrzucał od niechcenia dużą srebrną monetę.

— Pojechał? Ach, już pojechał. Co to znaczy, John? Co to jest?

— To? Pięć franków.

— Skąd je masz? Po co mi to pokazujesz? Zwaryowałaś, stary?

— Otrzymałem je przed chwilą od jego królewskiej wysokości za podanie palta. Proszę pana, namyślałem się, czy uważać tę monetę za order i nosić ją na szyi, czy też złożyć ją, jako ofiarę na ubogich włochów?

Paru ze służby, stojących na schodach wejściowych, usiłowało się nie śmiać. Pan spojrzął po nich surowo i nagle — roześmiał się sam, szeroko i rozgłośnie.

Swoją drogą, adoracje tłumów, a nawet nołaczona z tem zabawa znużyły się panie do pewnym czasie. Dla wytechnienia i dla większej swobody, której potrzebowała w nowej fazie swego wewnętrznego życia, a również na złość sobie i innym, zaszczycała swoim wyborem Gustawa de Chappedelaine'a. Uczyniła to po swojemu, samowolnie i okrutnie.

Pierwsza, jeszcze nie wydana oznajmiła mu swoją wolę. Straszliwa szczerłość panny i jej niesłychane warunki odurzyły Gustawa. Ale je-

szcze bardziej odurzyło go szczęście. Lucy wiedziała, że taki mąż znieśli wszystko. Jako narzeczona, traktowała go przy ludziach najprzyzwoiciej, w poufności, orzeź, niż lokaja. I sprawiała jej dziwną rozkosz dręczyć i poniżać tego pięknego, wytwornego mężczyzny, mieć za psa dumnego potomka starożytnego rodu.

Żaden z licznych proków Gustawa nie oddziaływał na nią, jako na kobiety. Ani razu nie musnęło jej duszy, jej nerwów bodaj przelotne pragnienie — wszak i poza młodym markizem otaczała ją wielu mężczyzn dorodnych i nawet, jako ludzie, ciekawych... Lucy pożądała jedynego — tego, który był niemożliwością.

Żeby bodaj raz w życiu...

Spotkać takiego, który nie istnieje i nie będzie istniał nigdy, a zechce ją pokochać, zechce jej bodaj zmysłowo zaprzagnąć — ale naprawdę, szczerze, po ludzku — ją, szpetną, odrażającą Lucy.

Gdzież jest ten, który to uczyni — nie wiedząc nic o slazengerowskich miliardach?

Lucy trąta się tem bezpłodnym marzeniem. A Paryż kusił, szepotał, olśniewał, odurzał i dręczył ją straszliwie.

Miała swoje ulubione drogi i dzielnice, które pociągały ją, niewiadomo, dlaczego.

Dojeżdżała do parku Monceau, tam odprawiała powóz i puszczała się w odmet nieznanomych ulic. Szła bez drogi i bez planu, wychodziła na szerokie, olbrzymie i puste bulwary, zbaczała w kręte uliczki i zawsze nieodmiennie trafiała na przecinającą miasto drogę żelazną. Był to czasami olbrzymi, brudny i zawsze zalany przez tłum podróżnych dworzec St. Lazare, czasami plac de l'Europe, wiszący na wiadukcie u zbiegu sześciu ulic. Bywała to nieraz ponura, podejrzana ulica, idąca w nieskończoność wzdłuż leżącego w przekopie toru kolejowego, po którym co chwila w obie strony przelatowały pociągi.

Lucy szła, dopóki jej starczyło sił, dążąc ku czemuś — czego nie było ani tam, ani nigdzie. Kiedy zdenerwowanie i ból zawodu stawał się nie do zniesienia, kiedy twarz pałała, a łzy zbierały się pod powiekami, wsiadała w pierwszy napotkany samochód i wracała do domu.

Z ciemnego wnętrza fiakra z nieważnością spoglądała na przelatujące za oknem tłumne i rojne życie. Szydła z samej siebie i pocieszała się tem szyderstwem.

Ocierała zapłakane oczy, doprowadzała do ładu i porządku wzburzone rysy twarzy i z pogodnym, zwyczajnym uśmiechem wracała do domu.

Rzadko zapuszczała się samotna ku wielkim bulwarom, gdyż nie chciała spotykać znajomych, którzy walęśali się tam, jak wszyscy. Nie

umiała, zwłaszcza w tych ostatnich czasach, przejść bez udreczenia przed tarasem jasno oświetlonej kawiarni, gdzie wysiadywały tłumy mężczyzn, patrzących na nią z szyderstwem. Zdawało jej się, że defilada taka hańbi ją i piętnuje, iak wyrzutka.

A kochała namiętnie gwar i przepych tej dzielnicy. Tam odrazu oblewał ją, iak warem, oddech Paryża. Chodziła, iak pijana, i po krótkim czasie musiała stamtąd uciekać, nieprzytomna, iakby zmiażdżona.

Pewnego wieczora spotkała tam narzeczona, idącego pod rękę z ojcem. Gustaw spojrzął na nią zakłopotany, stary margrabia witał ją okrzykami radości.

— Co za szczęście! Co za miły traf! I tak samotnie? Sama jedna?

— Bardzo to niestosowne, ale namiętnie lubię takie wycieczki!

— Owszem! Owszem! Ale to niebezpieczne! Samą w tłumie... Paryż jest tak zdemoralizowany!

— Kochane miasto! Niedzie się nie czuje tak wspaniale!

— Jest to wielka radość dla mnie i dla Francji. Droga Lucy, już zaczynasz kochać swój nowy kraj, ojczyznę twego męża i tweich dzieci, moich ukochanych wnuków...

Lucy śmiała się dobrodusznie. Lubiała starego w ekstazie, kiedy zaczynał poetyzować i gadać od rzeczy.

Gustaw patrzył na nią surowo. Widział w niej niezwykłe, niepohamowane podniecenie. Zdradzały ją świecące oczy, pałająca twarz, potworna roznamiętniona brzydota.

Był przekonany, że powraca ze schadzki. Na podobne konieczności losu był oddawna przygotowany. Znał bowiem zakulisowe życie swojej sfery, a reszta, nie dalej, jak przed paru dniami, Lucy niewymownie zapowiedziała mu, że zawsze będzie robiła, co jej się będzie żywnie podobało. Gustaw był konsekwentny i godził się na wszystko, ale narazie, reszta zdrowego i nierozumującego instynktu, patrząc na zmienioną twarz narzeczona, odczuł dla niej wstret i odrazę i przelotną, na szczęście, pogardę dla samego siebie.

— Pani tak dziś ożywiona, taka czemuś rada? Musiało pania coś niesłychanie ubawić!

— Cudownie ci, droga Lucy, z temi rumieńcami. — A oczy — ciska ją płomieniem! Mojaż ty śliczna!

Gustawowi zdawało się przez chwilę, że zwaryował. O mało nie dzielił ojca pięścią pod bok. Przez mgnienie oka czuł straszliwą żądzę ulżenia sobie.

Lucy śmiała się szczerze. Bawiły ją szczegółniej ponure spojrzenia, które na nią ciskał Gustaw. Drwiła z niego w żywe oczy.

— Dopiero teraz czuje, co to za szczęście być tak kochana! Mój nowy, drogi papo, doprawdy już nie wiem, kogo bardziej kocham, jego, czy ciebie, miły starszku!

Dana od Boga.

Powieść w 3-ch tomach.

24

— Niech cię Bóg błogosławi, za te słowa, dziecko najmilsze! Moja ty jedyna pociecho i podporo. Wiedz, córko, że hrabia de Vergennes, mój pradziad, minister nieszczęsnego króla, błogosławi cię z za świata. On, który, jak to wiesz z dziejów, pierwszy uznał niepodległość twojej ojczyzny — raduje się, widząc, że oto w czwartym pokoleniu Ameryka z woli Boga nagradza stary jego ród, dając mu skarb nad skarby, twój posiadaniu listów nieocenionego zdrowy, kwitnący urok. Jestem w Franklina... A ów wielki wasz mąż stanu, Deane, wówczas, kiedy krył się jeszcze pod incognito prostego kupca i spędzał długie godziny na poufnych posłuchaniach u s. n. mego (i twojego już teraz!) pradziada, powiedział był...

I markiz, zapędziwszy się w zapale, zaczął poprostu wypowiadać in extenso mowę, przygotowaną na ucztę zaręczynową. Ale zgiełk tłumu przerywał mu ustawicznie tę historyczną enuncyacyę.

— ...Powiedział był, droga córko — słuchajże, Gustawie, — jak wiadomo ze świeżo odnalezionych pamiętników pani margrabiny de Noailles... Była to najzaczniejsza i światła matrona w starym stylu, ale dziwnie niesystematyczna... Pamiętniki owe, powierzone...

— Drogi ojeze! Ależ mniejsza o to!

— Mniejsza o to. Otóż Deane, demokrat, ale oczywiście nie żaden gilotylniarz, powiedział był twemu pradziadowi, droga Lucy...

Lucy drwiła z nich obu w żywe oczy i dusiła się ze śmiechu. I Gustaw, patrząc na nią, po raz pierwszy poczuł w sobie straszną, zawziętą nienawiść. Wydało mu się, że obudził się z długiego snu. Opamiętał się w zgiełku ulicy i ujrzał jakąś poczwarnie idyotyczną i nieubłaganie prawdziwą rzeczywistość. Przez chwilę patrzył na Lucy osłupiałym okiem — rozejrzał się dziko wokoło siebie...

Wśród łoskotu pojazdów, porykiwania samochodów i zwykłej wrzawy ulicznej rozlegać się zaczęły dalekie jakiegoś okrzyki. Darli się gdzieś roznosiciele pism wieczornych, obwołując nadzwyczajne wydanie dzienników.

Gustaw trącał i odcigał ojca, chcąc przerwać kompromitujące gadulstwo, pożegnać go i odprowadzić, jak wypadło, narzeczoną do domu. Obudziła się w nim nadszpiegowana energia. Przysięgał sobie, że natychmiast, jak tylko zostaną sami wśród ulicy, zabierze się do panny. Żeby miało przepaść wszystko, musi jej powiedzieć słowa prawdy. Natychmiast!

I natychmiast ta energia, przysięgi, i cała zawziętość, i wszystkie słowa arystokratyczne, wyniosłe i nieubłagane zgasty w sposób doskonały, w samą porę bez śladu.

DCN.

Wysłałam z pałacu biskupiego całą drżąca od wewnętrznego buntu i rozkazałam palaczowi jechać do adwokata mego ojca do Holmstown. Skoro Kościół nie dla mnie uczynić nie mógł, postanowiłam przekonać się, co uczyni prawo.

Holmstown jest małą miejsciną, leżącą na zachodnim brzegu naszej wyspy. Dom pana Curphy stał tuż na wybrzeżu, a okna jego kancelaryi wychodziły na morze. Umeblowanie jej było bardzo proste. Ciężkie biurko, ogromny stół, zarzucony papierami i książkami, sztywne fotele i pod jedną ze ścian ustawione rzędami błaszane, lakierowane skrzynki, każda opatrzona nazwiskiem klienta. Największa nosiła nazwisko „Daniela O’Neil”.

Adwokat mego ojca przyjął mnie ze zwykłym mi słodkim uśmiechem; podał mi swą tłustą, lepką rękę, usadowił w fotelu i zapytał, czem mi może służyć.

Powtórzyłam mu moją smutną opowieść, tylko w zwięźlejszy sposób, przechodząc wprost do faktu niewierności mego męża.

Prawnik słuchał z głową przekrzywioną na ramię, z oczyma utkwionymi w szmerzącą za oknem morską roztocz, gładząc białymi palcami swą długą brodę, lecz z wyrazu jego twarzy i postawy odgadłam wprędce, że on podobnie, jak biskup, postanowił być ślepym.

— Pani może mieć słusność... — zaczął.

— Mam słusność — przerwałam.

— Ale nawet w takim razie zmuszony jestem objaśnić panią, że wiarolomstwo samo przez się nie wystarcza do uzyskania rozwodu.

— Nie wystarcza?

— Gdybyś pani była mężczyzną — tak; ale, będąc kobietą, musisz pani jeszcze udowodnić złe obchodzenie się.

— Złe obchodzenie się? Alboż to nie jest złem obchodzeniem się? — zapytałam.

— Biorąc po ludzku — tak; lecz z punktu widzenia prawa — nie — odpowiedział adwokat.

I zaczął tłumaczyć mi, iż w naszym kraju kobieta, zanim uzyska rozwód, musi udowodnić, że mąż nie tylko dopuścił się wiarolomstwa, lecz obchodził się z nią brutalnie, naprzykład bił ją, lub w jakikolwiek sposób nastawał na jej życie czy zdrowie.

— Zaś pani chyba mężowi zarzucić tego nie może? Nie? Tak i myślałam. Bądź co bądź, zawsze to dżentelman. Pozostał więc jeden jedyny powód, na którym opierając się, mogłaby pani zażądać rozwodu, mianowicie złośliwe opuszczenie. Ale tego mąż pani nie uczynił. To nie leży w jego interesie. Zabezpieczył-

my się przeciwko temu — i tu prawnik z uśmiechem wskazał na skrzynkę, opatrzoną nazwiskiem mego ojca.

Byłam, jak oszołomiona. Jeszcze bardziej upokarzającami od kajdan, jakimi skuł mnie Kościół, były warunki wyswobodzenia, jakie przedstawiało mi prawo.

— Ale przypuściwszy nawet, że pani otrzymasz rozwód, — podjął pan Curphy — cóż na tem zyskasz? Będziesz zmuszona rzec się tytułu.

— Nie dbam o tytuł! — odparłam.

— I stanowiska.

— Nie dbam i o to również.

— No, no! — rzekł pan Curphy, klepiąc mnie po rękę, jakgdybym była rozgrymaszonym dzieckiem, któremu się na płacz zbiera — nie psuj pani, pod wpływem chwilowego zniechęcenia, małżeństwa, tak z wszelkich innych względów odpowiedniego. Pomyśl też o ojcu. Po cóż wydał tyle pieniędzy dla postawienia na nogi podupadłego rodu? Aby się z tym rodem spokrewnić i przez swoje wnuki i prawnuki...

— Więc prawo nie dla mnie uczynić nie może? — przerwałam, czując, że mi się robi słabo.

— Niepomernie żałuję, ale, jak obecnie rzeczy stoją, nie widzę sposobu — odrzekł adwokat.

— Żegnaj pana.

I nim się opatrzyłam, zerwałam się z fotela i zbiegłam na dół.

Wszystko się we mnie gotowało. A więc dobrze. Pojadę do domu. Odwołam się do ojca. Twardym był zawsze dla mnie, ale, bądź co bądź, był człowiekiem, a nie abstrakcją, objętą na ludzkie cierpienia.

Rozdział LII.

Aczkolwiek posłałam do domu z zawiadomieniem o moim przyjeździe, nikt na moje powitanie nie wyszedł.

Ciotka Brygida wyszła za sprawunkami, Betsy, obrażona, że ja nie zaprosiła do Raa, usłyszawszy trąbkę mego samochodu, schowała się na górze; posłałam więc prosto do pokoju ojca.

Na moje pukanie odpowiedziała Nessy, lecz zamiast otworzyć drzwi, wysunęła się nazewnątrz, jak kot, zamykając je za sobą. Nigdy jej brzydka twarz i niezgrabna postać nie wydała mi się tak odpychająca. Spostrzegłam, że nadaje sobie tony pani domu i że pęk kluczy, które nosiła ciotka Brygida za moich dzieciennych lat, wisi teraz u jej pasa.

— Twój ojciec jest chory — rzekła.

— Wiem o tem i dlatego przwiechałam.

— Bardzo chory — ponowiła,

opierając się plecami o drzwi.—Doktor zalecił jaknajwiększy spokój.

— Proszę mnie puścić—rzekłam oburzona czelnością tej dziewczyny, wzbraniającej mi wstępu do pokoju mego ojca.

— Cyt! Ma gorączkę, i ja nie chcę, żeby mu dziś przeszkadzano.

— Proszę mnie puścić! — powtórzyłam, podnosząc tak głos, że ojciec usłyszał.

— Czy to Mary? — odezwał się przez drzwi, wobec czego Nessy musiała ustąpić, a ja weszłam do pokoju.

Ojciec leżał na polowem łóżku, na którym sypiał zawsze, i wyglądał tak źle, że aż mnie to wstrząsnęło. Zawstydziałam się własnego egoizmu, z jakim od rana myślałam tylko o sobie. Ale ojciec nie przyjął żadnych objawów współczucia, utrzymując, że mu nic nie jest, że wprowadźcie „Conrad krakał coś o raku“, ale że to stary głupiec.

— A cóż tam u was? — rzekł. — Duże towarzystwo na zamku, jak słyszę?

Skorzystałam z tej sposobności, by zacząć moje opowiadanie, choć teraz przychodziło mi to z większą trudnością, ze względu, iż słuchaczem był mój własny ojciec, i zdawało mi się chwilami, że mnie wzruszenie załdawi.

Spodziewałam się współczucia dla siebie i oburzenia na mego męża. Aczkolwiek ojciec odnosił się do mnie z tą samą lekceważącą trochę czułością, jaką okazywał mojej matce, jednakże byłam jego córką i sądziłam, że wybuchnie gniewem i omal nie wyskoczy z łóżka, by mój chwycić mego męża za gardło i duszę z niego wytrząsnąć. Ale on zaczął się śmiać!

— W imię Ojca i Syna! — zawołał. — I ty psujesz sobie krew dla takiego głupstwa?

Myślałam, że nie zrozumiał, o co chodzi, i próbowałam tłumaczyć się jaśniej.

— Wiem, wiem—przerwał mi. — Nadskakuję innej. I cóż z tego. Nie pierwszy on i nie ostatni.

Wciąż myśląc, że nie stawiam kwestyi jasno, powiedziałam ojcu, że mój mąż sprzeniewierza mi się, że jego niewierności pod moim własnym dachem poniżają mnie w oczach wszystkich, jak również moich własnych, że nie mogę znieść dłużej takiego życia i dlatego...

— Dlatego — podchwycił mój ojciec — przychodzisz do mnie, żebyś się za siebie użerał. Nie, nie, radź sobie sama, moja panno. Żaden teść nie powinien się wtrącać pomiędzy małżeństwo.

Był to zapewne czysto męski punkt widzenia, lecz mnie dobił do reszty.

— Któż to jest ta kobieta? — zapytał ojciec.

Powiedziałałam mu, że jedna z naszych gości.

— Więc staraj się ją zakasować. Myślę, że potrafisz tego dokonać. Jesteś ładna, a ja ci nie pożałuję pie-

niędzy. Staraj się ją zakasować! — to moja najlepsza rada. Niech twój mąż zobaczy, żeś piękniejsza i więcej warta. Zakasuj ją, powtarzam, i nie móż się, jak małe dziecko, które wciąż by się tylko spódnicy matki trzymało. Trzeba nie pozwolić dmuchać sobie w kaszę.

Opadł na poduszki i rzekł:

— Ale to tak zawsze z kobietami, gdy nie mają dzieci. Czepiają się o byle co mężów i chciałyby, żeby im tylko przez dwadzieścia cztery godziny na dobę patrzył w oczw. Ale to tak nie idzie. Raz już naslałem na ciebie ciotkę Brygidę, żeby ci naprostowała w głowie, i widzę, że trzeba będzie znowu tak zrobić. A teraz, odejdz. Jeżeli mam wyzdrowieć, potrzebuję spokoju. Nessy! (Tu podniósł głos). Mam tysiące rzeczy na głowie. Nessy! Lekarstwo! Nessy! Nessy! Gdzie się ta dziewczyna podziała?

— Jestem, Danielu,—rzekła Nessy, ukazując się na progu, a gdy szła korytarzem z oczyma pełnemi łez, zboliała i zgnębiona, słyszałam, jak ojciec zrzędził na nią, a ona przy podchlebiała mu się z obłudną pokorą.

W pół godziny potem ciotka Brygida weszła do pokoju mojej matki, w którym się rozgościłam. Nigdy w życiu widok tej nie był mi tak pożądanym. Ona przynajmniej po kobiecemu spojrzyła na moje nieszczęsne położenie. Ale czekało mnie nowe rozczarowanie.

— Na miłość Boską! — zawołała. — Cóż mi to twój ojciec powiada! Mąż twój w romanse się bawi. I to z którąś z twoich gości! Założyłabym się, że z tą, co ma takie duże oczy! Bardzo ci tak dobrze. Czemu sprowadzasz do domu tak szykowną i elegancką damę. Jeżeli ci było brak towarzystwa, to czemu nie zaprosiłaś ciotki albo siostry ciotecznej. Wtedy nie miałabyś żadnej przykrości z mężem, w każdym razie z mego ot powodu. I cóż myślisz zrobić?

— Starać się o rozwód! — odpowiedziałam stanowczo.

Gdybym skierowała lufę rewolweru w twarz ciotki Brygidy, nie byłabym jej bardziej przerażona.

— Czyś ty zwaryowała! — wykrzyknęła. — O rozwód! Żadna kobieta w naszej rodzinie nie shańbiła się w ten sposób! Co ojciec na to powie? Co się stanie z Betsy? Co ludzie o mnie pomyślą?

Odparłam, że nie ja ułożyłam to małżeństwo, i że ci, którzy je skojarzyli, muszą teraz ponieść skutki.

— Głupstwo! Co to ma jedno do drugiego. Tysiące tysięcy kobiet idzie za mąż z własnej woli i źle trafia, i dlatego muszą siedzieć cicho, bo gdyby chciały to wszystko odrabiać, to świat przewróciłby się do góry nogami. Może ci się zdaje, że wyszłabyś drugi raz za mąż? Akurat! Jakiż porządny człowiek ożeniłby się z rozwódką, choćby nawet słuszność była po jej stronie!

— Więc cięcią sądzi, że powinienam znosić, znosić w milczeniu podobne przენiewierstwa? — zapytałam.

— Phyl! — rzekła ciotka Brygida—a cóż ci innego pozostaje? Mężczyźni mają z natury pociąg do wielożeństwa i my, kobiety, musimy się z tem pogodzić Boże jedyny! albo to mój mąż nie latał za różnemi kelnerkami i szwaczkami! Trzeba patrzeć na wszystko przez szpary, moja kochana, — ot, co trzeba. To jedyna rada.

— Czy mój mąż będzie przez to lepszy? — zapytałam.

— Tego nie mówię — odrzekła ciotka Brygida — ale tobie z tem będzie lepiej. Co oczy nie widzą, to serce nie holi. A i to coś znaczy.

Poszłam spać tej nocy ze zbuntowaną duszą. Kościół, prawo, władza rodzicielska, wszystkie względy światowe i obyczajowe zdawały się być w sprzysiężeniu przeciwko mnie i skazywać mnie na życie fałszu i przymusu, a więc nieuczciwości i wstydu. Ja zaś, mówiłam sobie, że raczej umrę, niż wrócę do domu mego męża i poddam kark pod te wstrętne jarzmo.

Ale nazajutrz, gdy obudziwszy się, pomyślała o Jurku, zrodziło się we mnie postanowienie, że będę żyć i będę kobieta czystą w moich własnych oczach, bez względu na to, co świat sobie o mnie pomyśli.

Jurek był teraz jedyną moją ostoją, a więc powiem mu wszystko. Ciężko mi to przyjdzie, lecz przezwyciężę wstyd kobiecy i powiem mu wszystko. A potem zrobię, co on mi wskaże.

Zdawałam sobie dokładnie sprawę, co znaczyło takie postanowienie i jakie skutki pociągało za sobą; niemniej myślałam: *Zrobię, co on mi wskaże.*

Przypomniało mi się też, co owa hrabina w Rzymie mówiła o życiu „zupełnego wyswobodzenia“, jako o ucieczce od nieszczęśliwego małżeństwa, jednak i wtedy nawet powtarzałam w myśli: *Zrobię, co on mi wskaże.*

To postanowienie dodało mi otuchy i ubrałam się rażno; poczem zaczęłam wyglądać przez okno.

Poranek był cudny. W ogrodzie jabłka czerwieniły się w słońcu i agresz dojrzewał na krzakach; słodka, owocowa woń unosiła się w powietrzu. Nagle usłyszałam kroki, skrzypiące na podjazdowym zwirze.

Niemłoda kobieta w kwakerskim czepekku zbliżała się ku domowi. W ręku miała niewielką wiązankę białych i czerwonych róż, a słodka jej twarz miała wyraz dziecięcego niemal zafrasowania.

To była matka Jurka. Szła do mnie, i gdy ją tylko ujrzała, coś mi szepnęło, że śmiało moje postanowienie jest w niebezpieczeństwie i że coś wstrząśnie mną aż do samego dna mojej istoty.

Usłyszałam dzwonek u drzwi

frontowvch. Po pewnej chwili weszła pokojówka i rzekła:

— Pani doktorowa Conrad przyjechała odwiedzić waszą lordowską mość.

— Poproś ją tutaj — odpowiedziałam, a serce waliło mi, jak młotem.

Rozdział LIII.

Matka Jurka weszła do pokoju z wystraszoną miną, jakgdyby miała do spełnienia zadanie, którego sama się bała. Lecz gdy, powitawszy serdecznie usadowiłam ją w fotelu mojej matki, a sama przysiadłam na poręczu, uspokoiła się trochę.

Zaczęłyśmy rozmawiać o Jurku. Rzekłam jej, że musi to być dla niej ogromnym szczęściem zobaczyć go po takiej dalekiej i niebezpiecznej podróży; ona zaś odpowiedziała mi, że tak, lecz że było to krótkotrwałe szczęście, bo Jurek przyjechał tylko na cztery dni, a oni tęsknili za nim i oczekiwali go tak długo.

— To nie jego wina — dodała. — To taki dobry syn, jak lepszego nie może być na świecie. Ale gdy dzieci dorosną, nie mogą ciągle myśleć o swoich starych rodzicach, nieprawdaż? Ja też mówię mężowi: „Doktorze! toć i my byliśmy tacy sami, kiedyśmy byli młodzi“.

Zapytałam, czy Jurek jest jeszcze u nich.

— Nie, pojechał odwiedzić swoją dawną szkołę, gdzie właśnie miało się odbywać przedwakacyjne rozdawnictwo nagród, a potem obiad i różne zabawy, i przełożony zaprosił go na tę uroczystość.

— To tam dopiero chłopcy będą wivatować na jego cześć! Wyobraź sobie! — rzekła, uśmiechając się błogo.

— Ale wraca jeszcze do nianstwa? — zapytałam.

Nie, nie miał już wracać. Pożegnali się nadobre. Ze szkoły miał iechać prosto do Ra, Czyż nie wiedziałam o tem? Mówił, że będzie telegrafował do mnie. Objaśniłam, że wyjechałam wczoraj z domu i depecha mogła mnie nie zastać. O! tak; wybierał się do Ra jutro wieczorem i miał zostać do chwili odjazdu z wyśdy.

— Och! jak to dobrze! Jakże się cieszę — rzekłam i musiałam powiedzieć to z ogromnem przejęciem, bo słodka twarz matki Jurka zafrasowała się znowu.

— I Jurek się także cieszy... — rzekła — i... dlatego przyszedłam tutaj.

— Dlatego?

— Nie gniewaj się na mnie, kochasiu. Ale Jurek tak cię strasznie lubi... Lubił cię zawsze, od dziecka, ale teraz...

— Teraz?...

— Wydało mi się, że... że... to jest zawiśle lubienie!

Z trudem pohamowałam okrzyk radości, wyrwyjący mi się z piersi, ale poczciwa kobiecina nie spostrzegła tego.

— Nie, żeby coś takiego powie-

dział... nie... ale od czego oczy matki. I tak ciągle... ciągle tylko o tobie i o tobie rozmawiał, że aż mnie to przestraszyło.

— Przestraszyło?

— Tak. Bo, widzisz, kochasiu, chłopak był zawsze miękkiego serca. A ty... tak pięknie wyrosłaś. Tommy Mattek powiada, że od czasu, kiedy twoja biedna matczkę pochowali, nie było takiej, jak ty, na całej wyspie. I to prawda... szczerą prawdą. A Jurek... Jurek powiada, że równej tobie niema nawet w Londynie. Więc... więc... — i tu zaczęła jąkać się — więc pomyślałam, że on biedny chłopak ma przecież krew, nie wodę, w żyłach, jak inni ludzie, i że gdyby miał stracić dla ciebie głowę teraz... kiedy jesteś zameżną... to...

Umilkła na chwilę.

— Mówią też, że ty, kochasiu, nie jesteś szczęśliwą w małżeństwie, że wydano cię wbrew twojej woli, i że mąż niedobry jest dla ciebie... Więc... więc... pomyślałam sobie, że gdy wy się teraz z Jurkiem zejdzicie, a ty mu okażesz sympatyę... i chłopak do reszty się zaczłapie i... co niedobrego stąd wyniknie, to... to... będzie wielkie nieszczęście dla biedaka... teraz, kiedy jest tak na oczach ludzkich i wszyscy tak dobrze o nim mówią.

Wygadała się nareszcie. Jako mężatka i to mężatka nieszczęśliwa w pożyciu, stanowiłam niebezpieczeństwo dla jej ukochanego syna i ona, z całym słodkim, niepamiętliwym, macierzyńskim egoizmem przychodziła prosić mnie, bym go broniła *przeciwno samej sobie*.

— Dniami i nocami przemyślałam nad tem — ciągnęła dalej. — Co tu począć? Bywało, chciałam pogadać z Jurkiem, ale nie śmiałam. Dopiero, kiedy wczoraj dowiedziałam się, żeś przyjechała do oca, mówię mężowi: „Doktorze, pójde do niej i powiem jej wszystko“. A doktor na to: „Nie zrobisz tego, krysiu“. „Właśnie, że zrobisz“ powiedziałam. — „Ona może być sobie teraz wielką panią, ale czy to ja jej nie piastowałam na kolanach. Ona nie zrobi nigdy krzywdy memu chłopcu, skoro ją o to poproszę. Ja ją znam. Nie zrobi. Za żadne skarby świata“.

Lzy płynęły po jej starej, słodkiej twarzy; szukając chustki do nosa, przekładała rózę z ręki do ręki w bezradnem zakłopotaniu.

— Daj mi, nani, te kwiaty — wyrzekłam z trudnością. — Potrzymam.

— Przyniosłam je dla ciebie, kochasiu, — rzekła, śmiejąc się z własnego rozstargnienia.

— Tam, na zamku, w oranżeryi masz stokroć piękniejsze. — mówiła dalej — ale tak byłam pewna, że nie pogardzisz temi. Są z tego krzaka, co rośnie pod oknem twego pokoiku. Nazywamy go zawsze twoim pokojikiem; ten, coś to w nim spała, gdyś przyszła w tej aksamintej sukience śpiewać koledy pod drzwiami. „Pokój Marv O'Neill“, tak go nazwał Jurek i tak już zostało.

Wzruszona do głębi, objęłam ją wpół, tuląc się do niej, zapytując, czego żąda odemnie, i przyrzekając, że spełnię, czego zażąda.

— Doprawdy, kochasiu, doprawdy? — mówiła, całując mnie ze wzruszenia i zaczęła rozwijać przedemną swoje naiwne planiki wyleczenia Jurka z jego miłości dla mnie, tak bardzo nie na dobie. Więc najprzód, ażeby, pod pozorem choroby oca, została tutaj aż do czasu, kiedy Jurek będzie musiał opuścić wyspę. Sama jednak odrzuciła natychmiast ten projekt. Nie! Jurek mówił, że musi koniecznie zobaczyć się ze mną, koniecznie, powtarzał to kilkakrotnie; nie można przecież robić mu takiej przykrości.

Nasternie uważała, że mogłabym wychwalać mego męża przed Jurkiem i mówić, jaki on dobry dla mnie, i jak się czuję szczęśliwą, że wyszła za niego, lecz zawstydzila się sama tej myśli, boć skoro to nie było prawdą, to Jurek poznałby się na kłamstwie.

Wreszcie, przyszło jej do głowy, że aby ochłodzić trochę nasz stosunek, mogłabym nie być tak serdeczną dla Jurka, mówić do niego szorstko, a nawet pogńiewać się czasem... ale nie! to byłoby zbyt wielkiem okrucieństwem, zwłaszcza odemnie, i to teraz, kiedy jechał tak daleko i Bóg tylko raczył wiedzieć, co się z nim stanie.

Chodziło jej tylko o Jurka. W swym tklivym, macierzyńskim egoizmie nie była w stanie pomyśleć o kim innym. Pomimo całego przywiązania do mnie, nie przyszło jej nawet na chwilę do głowy, że, spełniając jej prośbę i odychając Jurka, ja również będę cierpieć.

Było jednak coś tak rozbrajającego w jej bezradnem zatroskaniu, że gdy wreszcie, opuszczając ręce na kolana, rzekła żałośnie:

— Nie wiem, nie wiem, doprawdy, co masz robić — zaczęłam ją pocieszać (sama tak bardzo nociechy potrzebując) i upewniać, że znajdzie sposób usmiecia go z mojej drogi, skoro tak bardzo tego pragnie.

— Doprawdy? Znajdziesz?

— Znaidę.

— Ale mi nie zakrwawisz zbyt nio serca?

— Nie! Nie!

— Wiedziałam, że się na tobie nie zawiodę. Niech ci Pan błogosławi i Jego Najświętsza Matka!

Rozplakała się tym razem łzami ulgi i wdzięczności.

— Ach, kochasiu! Niema na świecie kobiety, która bym pragnęła dla niego, nad ciebie. Ale cóż, teraz, jak rzeczy stoja, to niema o czem myśleć, prawda?

— Tak, niema o czem myśleć — odpowiedziałam.

— I nie gniewasz się na mnie, że przyszłam?

— Nie! nie! — wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło.

— To i Bogu dzięki.

Westchnęła z niewypowiedzianą ulgą i wstała.

— Trzeba mi już iść. Doktor kopie w ogrodzie i nie jadł jeszcze śniadania. Ale nastawiłam garnek na *porridge* i gotuje się tam powoli.

Już przy drzwiach zwróciła się jeszcze do mnie:

— Tak bym chciała mieć twoją fotografię, kochasiu, taka dobrą, jak właśnie jesteś w tej chwili. Powiesiłabym ją w twoim pokoiku i raz po raz pobiegłabym na górę popatrzeć. Zresztą to wszystko jedno. Mam ja twoją fotografię tu (położyła rękę na sercu) i czasem widzę cie, jak żywa.

Ucałowałam ją za całą odpowiedź, a ona dorzuciła:

— Tak; to jest dobrze! Dowidzenia, kochasiu! Zostaniesz tu pewnie do jutra, to może zajrzę znów do ciebie. Dowidzenia!

Patrzyłam za nią przez okno. Ocieriała oczy, ale głowę miała podniesioną i szła lekkim krokiem, jak gdyby jej ciężar wielki spał z serca.

Droga, słodka kobiecina! Takie kobiety, jak ona i moja matka, takie ciche, potulne, kochające i czyste — są kwiatami i wonią ziemi.

Po odejściu matki Jurka, domna na obietnicę, jaką jej dałam, zaczęłam rozmyślać, co się ze mną stanie. Jeżeli pod żadnym pozorem nie mogłam rozwieść się z moim mężem, nie łamiąc przykazania mojego Kościoła, ani kochać Jurka i być przez niego kochana, nie zakrwawiając serca jego matki, to cóż mi pozostało?

Zamiarem moim było wracać nazajutrz rano do domu; a nazajutrz wieczór miałam się zobaczyć z Jurkiem. Co mu powiem? Jak postąpić?

Przez cały dzień zadawałam sobie te pytania, nie znajdując na nie odpowiedzi. A ku wieczorowi poniosłam moje utrapienia, jak to często czyniłam przedtem — do Ojca Dana.

Rozdział LIV.

Drzwi plebanii otworzyła mi gospodyni Ojca Dana, poczciwa starszuszka, przywiązana do swego chlebobawcy po macierzyńsku i po macierzyńsku wciąż na niego zrzedzająca.

Prowadząc mnie po wązkich schodach do jego pokoju, zrzedziła i teraz:

— Bóg jeden raczy wiedzieć, co się dzieje z Jego Wielebnością. Nie jada, nie sypia, wychudł, jak szczapa, i wyraźnie pana Boga kusi, żeby mu chorobę zesłał, albo, i nie daj Matko Najświętsza, śmierć.

— Co to tam pani Cassidy opowiada o Jego Wielebności? — zawołał Ojciec Dan, ukazując się na prośle.

— Opowiadam, co prawda, że te ustawiczne posty i modlitwy po nocach i bieganie do chorych choćby o północy, to by żelaznego człowieka strawiły.

— No, no, nie zrzedzić! nie zrzedzić! Niech nam lepiej gospościa przygotowuje herbatę w najpiękniejszych, chińskich filiżankach, a do niej coś bardzo smacznego, żeby godnie przyjąć gościa, jakiego nam Bóg zsyła. Wejź, moja córko, wejź!

Śmiał się, ale od pierwszego rzutu poznałam, że gospodyni miała słuszną: tak bardzo zmizerniał i wychudł.

Wprowadził mnie do swego malutkiego gabinetu, usadził w fotelu przed kominkiem, lecz nie chciał o niczem słyszeć, dopóki nie wypiałam herbaty i nie skosztowałam przysmaków, jakimi poczciwa gospodyni zastawiła tacę.

Wówczas, podnieciwszy ogień, zarówno dla światła, jak dla ciepła, bo wieczór już zapadał, rzekł:

— No, i cóż mi powiesz, moje dziecko? Widzę, że rzecz jest ważną.

— Bardzo ważną, Ojcie Danie.
— Więc mów.

Opowiedziałam mu, jak od owej fatalnej sceny na Zamku Raą stosunki moje z mężem stały się jeszcze przykrejsze; jak, widząc, że nie podobna mi żyć dłużej w takim poniżeniu, pomyślałam o rozwodzie, jak udałam się w tym celu najpierw do biskupa i do adwokata mego ojca; wreszcie cichym, zdławionym głosem wyznałam mu moją świętą tajemnicę, dodając, że w żadnym razie nie mogę dłużej pozostawać pod dachem mego męża, kochając kogoś innego.

Ojciec Dan słuchał mnie, kręcąc się niespokojnie na krześle, szurając nogami i szarpiąc swą lichą sutannę, a gdy skończyłam, napadł na mnie tak ostro, jak nigdy przedtem:

— Wiem, kto to taki! — zawołał. — To Jur Conrad!

Oslupiałam ze zdumienia. On zaś krzyczał dalej:

— Dziwisz się, skąd wiem? Cóż to? Myślisz, że stary proboszcz ma oczy tylko dla brewiarza? To Jur, prawda?

— Tak. A lotr! gałgan! nik-

czemnik! Niech on mi się tu tylko na oczy pokaże! Dam ja mu!

Wiedząc, jak bardzo zacny proboszcz przywiązany był do Jurka, nie brałam do serca tych wykrzykników; spróbowałam jednak wystąpić w jego obronę, mówiąc, że ja jedyna tylko jestem tu winna, a on nie nie zrobił.

— Nie mów mi, że nic nie zrobił! — krzyknął Ojciec Dan. — Ja wiem, co zrobił: Powiedział ci, że ciebie kocha, co?

— Nie!

— No, to w każdym razie, uważałaś się nad tobą, powstawał na twego męża!

— Nigdy!

— No, całe jego szczęście! Bo, pomimo całej jego wielkości i sławy, tak bym mu zmył głowę, gdyby wyrządził jaką krzywdę memu ukochanemu dziecku, że w riety by mu poszło. Ale, Bogu dzięki, pojedzie sobie teraz i już go nie zobaczysz!

— Kiedy on przyjedzie do Raą — odrzekłam — i zobaczę go jutro.

— No, masz sobie! A, niegodziwiec!

Obiaśniłam, że sam mąż mój go zaprosił za namową Almy.

— Coraz gorzej! — wykrzyknął Ojciec Dan. — Nie rozumiesz, że oni zastawili na ciebie sidła, a wy dwójce głupców sami w nie lezicie. Ale nie z tego. Zostań u ojca.

Odpowiedziałam, że w żaden sposób uczynić tego nie mogę, bo Jurk przyjedzie wyłącznie dla mnie i musiałabym albo wyznać mu prawdę, albo się wyklamywać.

— Ha, może masz słuszną. Zresztą niezawsze uciekanie przed pokusą jest najlepszym środkiem. Owszem, należy ją spotkać mężnie i zwalczyć.

— Próbowałam, mój Ojcie, i nie mogę.

I zaczęłam opowiadać mu, jak okrutnie walczyłam, jak miłość była dla mnie tylko udreczeniem, jak się spowiadałam i kajałam, lecz wszstko napróżno.

DCN.

JULIA DICKSTEINÓWNA.

ODJAZD.

*W drogę — otwarta przestrzeń szeroko się ścięła,
W drogę — białe obłoki przemknęły po niebie;
Ostatnie sny odpędzam. — Gałąź się kolebie
Na lekkim wietrze. — Jęczy zegar na kościele.*

*Zgarniam całą moc duszy; dotrwam do ostatka!
Patrzę w słońce: wysoko już zawisło w złocie.
Czas mi! Zbieram po drodze dwie pełne stokrocie,
Łzami rosy je karmi dobra ziemia-matka.*

*Nie spojrzę już za siebie. Przez liści poszycie
Niby z niemym wyrzutem biała się wychyla
Domu mego ściana. Nie chcę! Jeszcze chwila
Bez łez... Już idę —*

Dokąd ty mnie wiedziesz, życie?

